

O pożytkach z budowania środowiska mieszkaniowego własnoręcznie

On the benefits of building a housing environment with one's own hands

Wchodząc do głównego budynku Politechniki Krakowskiej, możemy przeczytać rzymską sentencję: Non scholae, sed vitae discimus. O jej mądrości miałem okazję przekonać się na własnej skórze, kiedy zabrałem się do budowy domu. Były to czasy kiedy cegły kupowało się po 90 groszy za sztukę, a cement w workach po 27 złotych – oczywiście „na stare pieniądze”. Za pensję adiunkta mogłem kupić tych cegieł 1500, a potrzebowałem 30 razy więcej. Nie wiem, ile w sklepie kosztowała stal – bo jej tam wówczas nie było. Co gorsze w sklepach brakowało też kawy, która wtedy jako towar niemal kultowy, pomagała „załatwić” nie tylko stal. Ale perspektywa wieloletniego oczekiwania na mieszkanie spółdzielcze była jeszcze bardziej zniechęcająca. Ostatecznie sprawę przeważała parcela подарowana przez ojca. Zaprojektowałem na niej dom i niedługo potem zrozumiałem, co to znaczy być inwestorem, a z konieczności również wykonawcą inwestycji – ściślej pomocnikiem pana Sylwka – mojego majstra.

Tradycja „środowiska mieszkaniowego” w okolicy mojej budowy sięgała średniowiecznej wsi, do której pierwsi przybysze z miasta zaczęli zjeżdżać dopiero za czasów królowej Bony. Nauczyła ich tu uprawiać włośczyznę i wprowadziła modę na dom podmiejski, zwany villa suburbana. Wieśniacy chyba tego nie lubili, skoro kroniki z tych czasów przechowały zapis: „wszystko zło od Włochów, franca, piżmo, sałata”. Dopiero na początku XX wieku prezydent Leo rozszerzył granice Krakowa i podmiejski Prądnik stał się formalnie miastem. Mimo to, gdy w 1975 roku – przypominając sobie ćwiczenia z geodezji – wytyczyłem w terenie swój dom, wkoło dalej pasły się krowy. Na dodatek przez moją działkę przebiegał chyba korytarz ekologiczny, bo rano wyciągałem z wykopów jeże, a raz nawet zająca. Myszy dobierały mi się do śniadania w teczce, z której wylazły dopiero na Politechnice.

Do budowy dojeżdżałem polną drogą; nie było wody, kanalizacji, prądu, gazu, telefonu. Ale rósł piękny jesion, a wieczorami śpiewały słowiki. Sąsiad z prawej strony już mieszkał i patrzył krzywym okiem na to, co robię. Sąsiad z lewej jeszcze nie mieszkał, ale już miał prąd i wodę. Pozwolił się podłączyć.

Wykopy poszły łatwo, bo dom nie był podpiwniczony. Ale zawaliły się zaraz po deszczu zanim zdążyliśmy wylać do nich ławy fundamentowe. Trzeba było kopać jeszcze raz – tym razem już nie oszczędzając na szalunku. Gdy dom zaczął nareszcie „wychodzić z ziemi” z radości zapomnieliśmy o jednych drzwiach i trzeba było wycinać otwór ciesielską piłą w świeżym murze – na szczęście z pustaków – ale piłę diabli wzięli. Beton na pierwszy strop robiony był łopatami, więc do naszej dwójki doprosiliśmy na jeden dzień panów spod budki z piwem. Dzięki nim dowiedziałem się, że aby mieć w lecie chłodny alkohol, trzeba flaszki zawiesić w kominie – parę godzin przed wiecżą.

Entering the main building of the Cracow University of Technology, we can read a Roman maxim: “Non scholae, sed vitae discimus”. I could find out its wisdom the hard way when I began building my house. A brick cost 90 groszy, a bag of cement - 27 zloty then, in “old currency” of course. My lecturer's salary could buy 1,500 bricks while I needed 30 times more. I have got no idea how much steel cost in shops - just because it could not be found anywhere at all. What was worse, there was not any coffee in shops which, as a somehow cult product, could “rush” steel and other things through. However, the perspective of long years of waiting for a co-operative apartment was still more discouraging. Eventually, the matter was solved by a plot I got from my father. I designed a house and soon understood what it meant to be an investor and, out of necessity, the performer of an investment - more precisely, a helper of my master, Mr. Sylwek.

The tradition of a “housing environment” in the surroundings of my construction site goes back to a medieval village where some people started to arrive only in the times of Queen Bona. She taught them how to grow vegetables and introduced a fashion for a suburban house - a “villa suburbana”. The villagers did not seem to like it as some chronicles include such an opinion: “everything that is wrong - bug, musk, lettuce - comes from Italy”. It was not until the beginnings of the 20th century that President Leo extended the limits of Cracow and the suburban Prądnik formally became a town. Despite that, when I - trying to recall my geodetics practice - was marking out my house in 1975, there were still some cows grazing around. What was more, there must have been an ecological corridor passing through my plot because I often took hedgehogs or even hares from the ditches.

Na drugi strop już nie miałem pieniędzy i musiałem pojechać na rok „do Arabów” – jak to się wtedy mówiło. Po powrocie okazało się, że w moim przyszłym środowisku mieszkaniowym zaszły duże zmiany. Znikły krowy i słowiki, a pojawiły się prefabrykowane bloki. Na pociechę świeżo wyasfaltowaną ulicę nazwano imieniem wiejskiego poety. Na mapie miasta przedmieście Czerwony Prądnik włączono do Śródmieścia! Wprawdzie nie musiałem już kopać szamba, ale z wysokości przyszłego okna zamiast łąki widać było wielką płytę. Trzeba się było ratować i szybko sadzić drzewa. Tym bardziej, że niewiele więcej dało się zrobić, bo w Polsce galopowała inflacja i niemal niczego nie można było kupić. Budowa ślimaczyła się latami, w końcu majster umarł, a Jaruzelski ogłosił stan wojenny. Dopiero po siedmiu latach na betonową wylewkę w przyszłej sypialni wstawiłem połowe łóżko.

Moja praktyka budowlana w zakresie stanu surowego zamkniętego dobiegała końca. Mogłem zabrać się za pobożowisko wokół domu. W sklepach był ocet, a od czasu do czasu także kielbasa zwyczajna i wyroby czekoladopodobne – oczywiście na kartki. Zatem ograniczyłem rozmiary ozdobnego ogrodu na rzecz warzywnika i wybiegu dla kur. Hodowałem też jednego królika, który szybko stał się ulubieńcem dzieci – i to go uratowało. Uczyłem się „kidać” kompost, kosić, łapać deszczówkę i sadzić drzewka owocowe – oczywiście za pierwszym razem posadziłem je za gęsto. W zimie, gdy ustały „prace

Some mice used to get their paws on the breakfast in my briefcase which they left at the University.

I used to take a dirt road to the construction site; there was no water, drainage system, electricity, gas, telephone. But there was a beautiful ash and some nightingales singing in the evenings. My neighbour from the right, who already lived there, looked askance at me. My neighbour from the left, who did not live there yet, had electricity and water. He let me get hooked up.

The earthworks went smoothly as the house did not have a basement. However, they collapsed just after a rainfall, before we were able to pour some foundation arrays into them. We had to dig once more - without saving shuttering that time. When the house began “emerging from the ground”, we were so happy that we forgot about one door and were forced to cut an opening in a fresh wall with a carpenter's saw - fortunately, it was made of hollow bricks - but the saw went down the drain. The concrete for the first structural ceiling was made with spades so we invited several down-and-outs to help the two of us. They explained to me that if you want to have some cool alcohol in the summertime, you have to hang bottles in the chimney - for a few hours before a party.

I did not have any money for the second structural ceiling so I visited “Arabs” - as we used to say then - for a year. When I came back, I realized that my future housing environment had changed a lot. There were not cows or nightingales any more but some prefabricated blocks of flats. A freshly asphalted street had been named after a village poet for consolation. The suburbs of Czerwony Prądnik were included in the city centre! Even though I did not have to dig the cesspool, I could see a large concrete slab instead of a meadow from my future window. I had to rescue myself and plant some trees as soon as possible. The more so I could buy nothing more because inflation was galloping in Poland and there was hardly anything in the shops. Construction was moving ahead slowly for years. Eventually, the master died and Jaruzelski proclaimed martial law. Only after seven years, I was able to put a camp bed on the concrete floor of my future bedroom.

My building practice in closed raw state was drawing to an end. I was able to take care of the shambles around the house at last. Shops offered vinegar and sometimes pork sausage and artificial chocolate - in the rationing system, of course. Therefore, I limited the size of a decorative garden for the sake of a vegetable one and a run for hens. I also kept a rabbit that soon became the children's favourite - which saved its life. I learnt to handle the compost, mow the grass, catch rainwater and plant fruit trees - there were too close together for the first time. In winter, when the “field works” stopped, I began finishing work inside. I equipped myself with tools mainly in the Village Co-operative shops (who can still remember them?), feeling stronger and stronger solidarity - especially with self-sufficient farmer-workers. The Polish People's Republic ended soon and democracy came about together with free market. What I knew from reading magazines or working abroad could be bought in a supermarket. Doing everything by one self was not necessary any more.

These days, I treat that period from before half a century, when my colleagues and I were building our own “housing environment”, as an educational adventure. Not just

polowe” zabrałem się za roboty wykończeniowe wewnątrz. W narzędzia zaopatrywałem się głównie w sklepach GS (kto je jeszcze pamięta?) więc również oddolnie rosła we mnie solidarność – zwłaszcza z samowystarczalnymi chłopco-robotnikami. Ale wkrótce skończył się PRL i nastąpiła demokracja, a z nią wolny rynek. To, co znałem z żurnali lub pracy zagranicą można było kupić teraz w supermarkecie. Robienie wszystkiego niemal własnoręcznie nie było już konieczne.

Dziś ten okres sprzed ćwierć wieku, gdy podobnie jak kilku kolegów budowałem własne „środowisko mieszkaniowe”, traktuję jak pouczającą przygodę. Nie dlatego, że po latach nawet trudne chwile wspomina się z sentymentem i nie dlatego, że wciąż umiem robić nikomu już przecież niepotrzebne rzeczy. Ale w myśl przytoczonej na wstępie sentencji, uczyliśmy się wówczas „nie dla szkoły, ale dla życia”. Każda kreska na papierze przekładała się na pieniądze – z własnej kieszeni. Rola projektanta, inwestora i wykonawcy w jednej osobie to był poligon, którego pożytek teraz doceniam w rozmowach z dyplomantami i młodymi absolwentami. Mają oni nieporównanie lepszy dostęp do wielu dóbr, a nade wszystko do informacji. Dlatego we współczesnym nauczaniu – tych zdolnych, a niekiedy utalentowanych ludzi – ważniejsze od przekazywania informacji staje się ostrzeżenie inżynierskiego instynktu w ich przetwarzaniu. Aby adept architektury nie powiększali rzeszy „internetowego proletariatu” i nie stali się „półgłówkami”, którzy potrafią jedynie „wypróżnić się” przed klientem z modnych nowinek ściąganych z ekranu i głupiej, gdy skończy się im bateria. Ale aby potrafili tworzyć rzeczy – nie tylko wizualizować pomysły. Aby byli przekonującymi partnerami dla inwestorów, którzy za te rzeczy zechcą zapłacić, pamiętając przy tym, że im klient bogatszy, tym bardziej nieufny i skąpy.

because after so many years I recall even difficult moments with sentiment and because I can still do some unnecessary things but according to the principle mentioned above - “we did not study for school but for life” then. Every line on paper was transformed into money - paid of our own pockets. The role of a designer, an investor and a performer in one person was a testing ground whose benefits can be appreciated now, during discussions with diplomates and young graduates. They have incomparable access to numerous goods, to information above all. Therefore, in contemporary teaching of those smart and often talented people, sharpening an engineer’s instinct for transforming information becomes more important than transferring it. Architecture graduates must not join the host of the “Internet proletariat” and turn into half-wits who can only show off some novelties seen on the screen and lose their heads when the battery goes off. They must create things - not just visualize ideas. They should make convincing partners for investors who are willing to pay for those things, keeping in mind that the richer a client is, the more distrustful and the stingier he gets.

